TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR. CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI·
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.
PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[DYNI]E NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 17. Chicago, Ill., Czwartek, 28-go Kwietnia, 1898. Rok XII.

Książe Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Młynarz tymczasem siadł na kamieniu, i zaczął liczyć złote pieniądze, które od Basmanowa dostał. Wesoło się uśmiechał, przekładając je z dłoni na dłoń, gdy uczuł nagle na swem ramieniu ciężką rękę.

Stary drgnął, wskoczył na równe nogi i o mało nie umarł ze strachu, gdy wzrok jego spotkał się z czarnemi oczyma Wiaziemskiego.

— O czem czarowniku, rozmawiałeś z Basmanowem? — spytał Waziemskij.

— Ba... ba ... batiuszka! — wymówił młynarz, czując, że nogi się pod nim uginają — batiuszka, kniaź Afanazij Iwanowicz, jak raczysz się miewać?....

— Mów krzyknął Wiaziemskij, i schwycił młynarza za gardło i do koła go ciągnął — mów, coście na mnie knowali!

Tu kniaź przegiął starca nad samem kołem.

— Złociutki! — wyjęknął młynarz — wszystko twej miłości powiem — ale nie wytrząsaj mi duszy, niech wprzódy odpokutuję na tym świecie.

— Po co przyjechał do ciebie Basmanow?

— Po korzeń, batiuszka, po korzeń. A ja przecież... ja wiedziałem, że ty jesteś tutaj, że wszystko słyszysz... i dla tego mówiłem głośno, żebyś wiedział, co Basmanow knuje na ciebie.

Wiaziemskij odrzucił młynarza od stawu. Stary zrozumiał, że minął pierwszy

gniew księcia.

— Jakiś ty mój drogi, złośliwy! - rzekł, podnosząc się z ziemi — mówię ci, żem wiedział, że twoja miłość jest blisko. Od rana nawet oczekiwałem cię, batiuszka

— Czegoż chce Basmanow? — spytał książę, łagodnem już głosem.

Młynarz przez ten czas przyszedł już zupełnie do siebie.

— To uważaj! — tu młynarz zrobił poważną minę — Basmanow mówi, że car przestał go kochać, że ciebie więcej miłuje, i że tylko ty, Godunow Borys Fedorycz i Maluta Skurbatow macie u niego łaski. No i zaczął błagać, żebym mu dał tyrlicza.

— Daj — mówi — tyrlicza, niech mnie car na nowo pokocha, a ich znienawidzi.

— Co tu z nim zrobisz! przyłożył nóż do gardła: wyjmuj i kładź. Nie mogę mu się opierać. No i dałem korzonek, i to korzonek najgorszy. Taki mu dałem parszywy korzonek, żeby mnie tylko przy życiu zostawił. Dałbym jemu tyrlicza, żeby więcej go car miłował niż ciebie!.. .

— Pal go djabli! — rzekł spokojnie Wiaziemskij — Co mi do tego, czy go car miłuje czy nie.

— Nie po tom do ciebie przyjechał. Stary, czyś się nie dowiedział czego o bojarce?

— Nie złociutki, nie. Z gońcem twoim mówiłem, że nic się dowiedzieć nie można. A jak się już starałem dla twojej miłości! Siedem razy z rzędu patrzałem pod koło. Widzę — jedzie bojarka lasem, ze starym człowiekiem; sama taka smutna, a stary człowiek ją pociesza. A więcej nic nie widać; wodać się zamąci i rób co chcesz!

— Ze starym człowiekiem? To z Morozowem, z mężem, ha?

— Nie, nie, to nie bojarzyn, to jakiś prosty człowiek.

Wiaziemskij się zamyślił.

— Stary, rzekł nagle — umiesz szable zamawiać?

— To się wie, że umiem. A jak batiuszka zamówić? czy żeby rąbała, czy też żeby od uderzenia się stępiała?

— Rozumie się, żeby rąbała, czorcie leśny!

— A bo to widzisz, batiuszka, zamawiają nieprzyjacielskie szable, żeby się tępiły, lub o broń łamały.

— Moją masz zażegnać, a nie czyją. Będę się bił w sądnym pojedynku, i muszę koniecznie wroga pokonać, słyszysz?

— Słyszę, batiuszka, słyszę; jeszczećbym też nie słyszał! — I starzec pomyślał sobie: z kim to on się będzie bił? kto jest jego przeciwnikiem? czy nie Basmanow? Chyba nie; przecieć tylko co kpił sobie z niego. — A kniaź nie umie ukrywać swych myśli. Może Srebrny? I to nie. Młynarz wiedział od Micheicza, że siedzi w więzieniu, a od kilku towarzyszy Pierścienia, że rozbójnicy go uprowadzili i trzymają u siebie. Pozostaje jeden bojarzyn Morozow. Ten za uprowadzenie żony mógł wyzwać Wiaziemskiego. Prawda i to, że bojarzyn jest już starym, ale z drugiej strony w sądnym pojedynku można za siebie postawić najemnika. Znaczy — wykombinował w końcu młynarz — kniaź będzie się bił z Morozowem lub z jego najemnikiem.

— Pozwól batiuszka — dodał — zaczerpnąć wody i ujrzeć twego przeciwnika.

— Czyń co chcesz — odpowiedział Wiaziemskij — i siadł na spalonym pniu.

Młynarz przyniósł z komory kubeł, spuścił go pod samo koło, i zaczerpnąwszy wody postawił przed księciem.

— Eh! eh! — zawołał, patrząc, schylony, w kubeł — widzę twego przeciwnika, batiuszka, tylko się boję; bardzo stary!

O, i ciebie widzę, batiuszka, jak się z nim spotykasz.

— I co? - spytał Wiaziemskij, napróżno chcąc sam coś ujrzeć w wiadrze.

— Aniołowie ujmują się za starym — mówił dalej młynarz tajemniczo i sam niby zdziwiony tem, co widzi; — siły niebieskie idą za nim; trudno będzie zażegnać twoją szablę.

Kniaź mimowolnie drgnął. — A mojej strony nikt nie trzyma? — spytał.

Młynarz patrzył coraz uważniej; oczy stanęły mu w słup. Zdawało się, że sam, który z początku durzył Wiaziemskiego, teraz rzeczywiście został przerażony jakimś strasznym widokiem.

— I twoja miłość — szepnął — masz obrońców... A teraz nic już nie widzę, woda ściemniała.

Gdy stary podniósł głowę do góry, Wiaziemskij postrzegł, że pot lał mu się z czoła.

— I ty batiuszka, masz obrońców — rzekł drżącym głosem. — Będzie można zażegnać twój oręż.

— Na, masz, — zawołał kniaź, i wyjął z pochwy ciężką szablicę — zamawiaj.

Młynarz westchnął głęboko, wygrzebał rękoma jamę, w którą wetknął rękojeść szabli i zaczął chodzić do koła, mrucząc półgłosem:

"Oj wypłynęło słonko z za morza, wschodzi księżyc nad miastem kamiennem. A w tem mieście kamiennem zrodziła mnie matka, a gdy rodziła, mówiła: bądź moje dziecątko nietykanem, ani przez strzały, ani przez miecze. Opasała mię matka mieczem samosieczem. Ty, mój mieczu samosieczu, wierć się i kręć ty się kręć i wierć, jak młyńskie koło. Ty łam w kawałki wszelką stal, żelazo i miedź. Rąb, przerębuj wszelkie mięso i kości, a nieprzyjacielskie uderzenia niech ci robią tyle szkody, co kamienie wodzie! Zamawiam niewolnika pańskiego, Afanasya Wiaziemskiego. Opasuję go mieczem samosieczem. Oto ostatnie słowo, miecz wisi nad głową!"

Młynarz wyciągnął szablę, strząchnął z rękojeści ziemię, wytarł ją starannie połą i podał księciu

— Weź, batiuszka — kniaź Afanasij Iwanowicz — będzie ci wiernie służyła, aby tylko przeciwnik twój nie pokropił szabli swojej święconą wodą.

— A jak pokropi?

— Trudna rada, batiuszka. Zażegnane żelazo nic nie zrobi święconej wodzie. Ale i temu niby możnaby zaradzić; dam ja ci gołębia błotnego, powieś go w woreczku na szyi, to odwrócisz oczy swemu wrogowi.

— Dawaj gołębia — zawołał Wiaziemskij.

— Z miłą chęcią, batiuszka, z miłą, dla twej miłości i gołębia nie będę żałował.

Stary poszedł znów do komory i przyniósł księciu coś zaszytego w szmacie.

— Okropnie się, batiuszka namęczyłem — mówił, jakoby żałując wypuścić z rąk szmatę — zanim gołębia odnalazłem, jak pójdziesz po niego na błoto nie w oznaczonym czasie, takie napadną na ciebie strachy, że Boże broń!

Książę wziął gałgan z ręki młynarskiej, i rzucił staremu garść złotych.

— Niech Bóg nagrodzi twą książęcą miłość — rzekł młynarz nizko się kłaniając. — Ale, batiuszka, nie gniewaj się, to ci jeszcze słówko powiem: żebyś przed pojedynkiem czasami do cerkwi nie chodził! lub nabożeństwa nie słuchał, Boże broń! bo zażegnanie moje z ostrza zeskoczy.

Wiaziemskij nic nie odpowiadał, szedł już do swojego konia, gdy nagle zawołał:

— Hej stary, możesz powiedzieć kto z nas żyw zostanie?

Młynarz się zawahał.

— Rozumie się, że ty, batiuszka. Gdziebyś tam miał zginąć! Ja ci i dawniej przecie mówiłem, że nie od miecza polegniesz.

— Popatrz no jeszcze raz w kuble!

— Na co, batiuszka, patrzeć! Teraz nic nie ujrzymy, woda już się zmąciła.

— Nabierz świeżej! — wrzasnął Wiaziemskij.

Młynarz, chcąc nie chcąc, musiał usłuchać.

— No, cóż tam widać? — spytał zniecierpliwiony książę.

Starzec z wstrętem, który wykrzywił mu całą twarz, nachylił się nad kubłem.

— Ani ciebie nie widać, batiuszka, ani twego przeciwnika — rzekł, i cały pobladł — widać jeno plac, pełen narodu; wiele głów sterczy na tykach; a z boku stos się dopala i kości człowiecze przybite do słupa.

— Czyje głowy sterczą na kołach? — spytał Wiaziemskij, przezwyciężając mimowolny strach.

— Nie widzę, batiuszka, wszystko się znów zamąciło; jeden stos jeszcze się pali, i kości czyjeś wiszą na słupie.

Młynarz z ledwością podniósł głowę do góry i szybko odwrócił wzrok od kubła. Drżał konwulsyjnie, pot kroplami spadał mu z twarzy.

Wiaziemskij odnalazł konia, wsiadł nań, i taki sam zachmurzony wracał ku Moskwie.

XXXI.
Sąd Boży.

Przez ten czas, gdy Wiaziemskiego nie było w Słobodzie, Maluta miał ważną rzecz do spełnienia. Kazał mu car połapać najbliższych sług książęcych, i przy pomocy rozmaitych tortur wywiedzieć się od nich, czy pan jeździł czarować do młyna? ile razy? i co knuje na jego carską osobę?

Więcej było takich, co się do niczego nie przyznali, lecz inni nie wytrzymali tortur, i wyśpiewali wszystko, co im Maluta kazał: że kniaź jeździł do młyna dla tego, by oczarować cara; że nawet na tron chce posadzić księcia Władimira Andreicza i t. p. bzdurstwa, które jednakowoż dyacy zapisywali, i później odczytywali carowi. Czy wierzył temu Iwan Wasiliewicz? — Bóg raczy wiedzieć. Dość że ostro przykazał Malucie ukrywać przyczynę wtrącenia sług książęcych do więzienia. — A jak się Wiaziemskij spyta — mówił car — to mu powiedzieć, że podejrzeni są w obrabowaniu carskich składów.

Ale i w tem, co wyznali słudzy Wiaziemskiego, nie było jedności: jeden mówił tak, drugi siak. Posłał przeto Jan po Basmanowa, by ten jeszcze raz powtórzył, co słyszał od chłopów książęcych.

Basmanowa nie było w Słobodzie — w wilię dnia tego odjechał ku Moskwie. Car ogromnie się rozgniewał, jak mógł przekroczyć jego rozkaz. Maluta zaś postarał się przez ten czas obmówić młodego opryczmika przed carem.

— Kto wie, carze — rzekł — dla czego on śmiał odjeżdżać bez twego pozwolenia? Pewnie i on knuje to samo, co Wiaziemskij, na którego doniósł, by sam mógł cię opętać.

Car kazał Malucie milczeć do czasu o wszystkiem, a gdy wróci Basmanow udawać, że nikt nie zauważył jego nieobecności.

Nastał i dzień sądnego pojedynku. Jeszcze przed wschodem słońca naród tłumnie się zebrał na Czerwonym placu. Wszystkie okna były pełne widzów; wszystkie dachy przez nich oblężone. Wieść o pojedynku dawno już się rozniosła po okolicy. Imiona przeciwników wabiły tłumy z siół i miast. Nawet z samej Moskwy przybyli ludzie różnego stanu, by ujrzeć na czyją stronę przechyli się sąd Boski.

— No, bratku — mówił jakiś z gustem ubrany gęślarz do swego towarzysza, dużego młodego drągala, o dobrodusznej lecz głupowatej minie — idź naprzód, może ci się uda przecisnąć do łańcucha. A narodu jaka kupa! ah! Dajcie prawosławni przejść chrześcianinom, Władimircom, na sąd Boży popatrzeć!

Prośby jego pozostały bez skutku. Zapchane tłumy choćby i chciały, nie były w stanie się rozsunąć.

— Idźże, niedźwiedziu, — powtórzył gęślarz, uderzając w plecy towarzysza — bo się pchać nie umiesz?

— A po co? — odpowiedział leniwie Mitka, i niby klinem żelaznym wciął się między tłumy swem ogromnem ramieniem. Posypały się na nich krzyki i przekleństwa, ale obaj towarzysze szli precz, nie zważając na nic.

— Na prawo, więcej — mówił starszy — w prawo! po co tak w lewo zajeżdżasz! Skręć tam, gdzie piki sterczą.

Miejsce, na które wskazywał gęślarz, było przeznaczone dla samego cara. Był to wysoki pomost, suknem czerwonem pokryty. Na nim stał carski fotel, a sterczące piki i halabardy należały do opryczników, którzy pomost ten otoczyli. Inni opryczmicy stali przy łańcuchu, przeciągniętym naokoło pola, tj. obszernej areny, przygotowanej do bitwy konnej lub pieszej: zależało to od umowy zapaśników. Opryczmicy odganiali tłumy halabardami, i nie pozwalali im się opierać o łańcuch.

Cisnąc się krok za krokiem gęślarz i duży jego towarzysz, dotarli w końcu do samego pola.

— Gdzie liziecie! — krzyknął jakiś opryczmik, i zamierzył się na nich halabardą.

Drągal otworzył gębę, i nie wiedząc, co czynić dalej, obejrzał się na swego towarzysza; a ten zdjął obiema rękami atłasową z pawiem piórkiem i złotą wstążką czapkę, i kłaniając się raz po raz opryczmikowi w pas, rzekł:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ANUSIA ŻEBRACZKA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Filut roześmiał się głośno. On już nie wierzył w osobiste pojawienie się Gwiazdki i dla tego uważał się za bardzo mądrego.

W posępnej izdebce pani Schreiber siedziała mała Anusia przy oknie i patrzała w okna naprzeciwległego domu, które się z wolna oświecały tem niezwykłem światłem, pochodzącem od drzewek gwiazdkowych; mianowicie spoglądała na jedno okno tego domu, które wzrok jej magnetyczną przyciągało siłą, bo tak jaśniało i taki blask bił z niego aż na śniegiem zasłany bruk podwórza. Tam niezawodnie stało drzewko Gucia, to urocze cudo, które biedna dziecina znała tylko z opisu bogatego swego przyjaciela, bo ten jej nieraz rozkosze gwiazdkowe w jaskrawych odmalowywał barwach. Na niwie jej młodego a tak smutnego życia nigdy jeszcze podobny kwiatek nie zakwitł. Było zimno i ciemno w tej ponurej izdebce, bo babka jeszcze do domu nie powróciła, a Anusia spoglądając do tego uroczego światła, złożyła rączki i rzekła:

— Ach Boże, czy do mnie Gwiazdki nie przyślesz? Przyślij mi Gwiazdkę, przyślij!

W tem drzwi otworzyły się z cicha i jasna smuga światła wpadła do izby. Małe serduszko ścisnęło się z niepokoju i trwogi — czyby to istotnie miała być Gwiazdka? Gucio wszedł z rozpromienionym obliczem i jaśniejącym wzrokiem, w jednej ręce niósł drzewko z licznemi świecami i gęsto obwieszone ciastkami i piernikami, a w drugiej ręce miał koszyk z rozmaitemi dobremi i użytecznemi rzeczami. Prawie mu tchu brakło, gdy mówił:

— Anusiu, Anusiu patrz, co mi Gwiazdka przyniosła dla Ciebie! Powiedziała mi, abym to tobie przyniósł. A mnie co za ładne rzeczy przyniosła! Jutro zaraz z rana musisz przyjść do mnie i wszystko zobaczyć!

To mówiąc postawił słodki swój ciężar na stół i wśród śmiechu wyszedł z izby. Za drzwiami słyszał jeszcze jak Anusia uradowana zawołała:

— Dzięki ci, dzięki, kochana Gwiazdeczko!

Wszakże on zaraz powiedział, że ona temu uwierzy!

IV.

Minęły znowu złote czasy wolności i wakacyi, a dla malców znowu nastał czas poważny, czas nauki i pracy. Po igraszkach, zabawach i swawoli, woła obowiązek do szkoły, nie zawsze upragnionej i kochanej, a czas ten nie zawsze się podoba, bo po główkach pokutują jeszcze resztki uciech wakacyjnych.

Nawet Gucio, ten uzdolniony i pilny uczeń, na którego nauczyciele z chlubą spoglądali, nie taił przed sobą, że uczenie się właściwie nudną jest rzeczą, to też wracając pewnego posępnego dnia jesiennego po południu ze szkoły do domu, w towarzystwie Jasia i Edwarda Fichtnera, postanowił sobie uprzyjemnić jutrzejtzą poobiednią rekreacyą i kupić arkusz z obrazkami, aby takowe jutro farbami pomalować. W tym celu wstąpił do kramu introligatora, a przyjaciele przed kramem na niego czekać mieli. Gucio długo wybierał, bo nie tak łatwo mógł się na coś zdecydować: wreszcie kupił i wyszedł z kramu, ale przyjaciół nie zastał. Obejrzał się po ulicy i spostrzegł niedaleko gromadę dzieci; tam niezawodnie coś sie wydarzyło, co ściągnęło tamdotąd przyjaciół, a Gucio postanowił także własną ciekawość zaspokoić.

Kilkunastu chłopców i dziewcząt otaczało biednie ubraną dziewczynkę, która daremnie usiłowała się wydostać z tego ko-

ła niesfornych malców, które ją przytrzymywały i szarpały na wszystkie strony. Już i sukienkę jej ktoś rozdarł, a stary jej słomiany kapelusz z pióram na pół udartem, leżał na ziemi.

— Anusia żebraczka! — Anusia żebraczka! — krzyczeli przytem. Biedne dziecko stało płacząc z wstydu i gniewu; zasłaniała się jak mogła torebką z książkami, ale napastnicy śmiali się i szydzili z jej niemocy.

W tem Gucio przybiegł i przyskoczył do dziewczęcia.

— Wstydźcie się, chłopaki! — zawołał czerwony z gniewu; — czy was nie wstyd dręczyć takie dziecko i rozdzierać mu sukienki?

— Ona w szkole musiała stać w kąciku!

— A wyście jeszcze nigdy nie byli karani?

Ujął dziewczynkę za rękę.

— Chodź, Anusiu!

Ale tak gładko ujść mu to nie miało, bo słowa jego podraźniły drugich; z pogróżkami zastąpili mu drogę, Gucio najbliższych odepchnął na stronę, wtem go ktoś tak w twarz uderzył, że strumień krwi wytrysnął. Chłopak uderzył go złamanym piórnikiem i głęboką w policzku zadał mu ranę. Na ten widok rozpierzchła się dziatwa; Gucio przycisnął chustkę do rany i prowadząc Anusię za rękę, szedł ku domowi, a na obydwóch braci Fichtnerów, którzy naturalnie także byli przytem, zawołał:

— To wasza sztuczka! Poczekajcie, ja wam to zapłacę!

Rana Gucia była głębszą, jak się to na oko zdawało, tak że lekarz domowy zeszywać ją musiał. W czasie tej operacyi chłopiec ani jęknął, usta mu tylko drżały i duże łez krople spływały po bladych licach.

Głośno łkając stała Anusia przy łóżku przyjaciela.

— Gucio! Ach, jak ty umrzesz! Wszakże prawda, ty nie musisz umierać?

— Ej, jakaś ty głupia! Na to się nie umiera. Była to, prawda, duża dziura, ale doktór ją pięknie zaszył.

Przez całe cztery tygodnie nie mówił Gucio z braćmi Fichtnerami słowa; potem oni się do niego zbliżyli, a Gucio udobruchany puścił wszystko w zapomnienie. Ale jeszcze bardzo długo trwało, aż się stara przyjaźń na nowo zawiązała. Ten jednakże z całej tej sprawy dobry był skutek, że od tego czasu Anusi nie napastowali, ale i Gucio był przezorny, bo odtąd nie pozwalał Anusi chodzić samej do szkoły, ale zawsze jej towarzyszył.

— Słuchaj jeno, babusia Anusi zachorowała, a nasz tatka dziś był u niej! — mówił razu pewnego Jaś Fichtner do Gucia, gdy się na podwórzu razem bawili.

— Wiem o tem, — odparł Gucio, — moja matka była u niej, aby zobaczyć, czy czasem czego nie potrzebuje.

W kilka tygodni potem stało w izbie pani Schreiber owe ciasne łóżeczko, w którem każdy rychlej czy później raz spocznie — czy bogato i kosztownie ozdobione, jak u możnyah panów, czy też z sześciu prostych złożone, jak u biednych i w jakiem też spoczęła wdowa po komedyancie.

Domownicy kręcili się tu i tam; ludzi obcych wciąż przybywało; są bowiem ludzie tego rodzaju, którzy dziwną mają ciekawość przypatrywania się trupom, chociażby ten człowiek za życia im był obojętnym, lub nawet zupełnie nieznanym. Anusia stała w izbie przy ścianie i patrzała zdziwiona to na nieboszczycę, to znowu na obecnych widzów; nie mogła ona tego pojąć, dla czego ci ludzie naraz koniecznie babusię chcą oglądać. Gdy panna Kordula ją wzięła za rękę, przyprowadziła do trumny i rzekła:

— Widzisz Anusiu, babusia umarła! Zmów za nią paciorek!

Natenczas pobożnie złożyła rączki i odmówiła pacierz.

Umarła! Jakie pojęcie ma dziecko o śmierci! Serce ciężkiemi dotknięte doświadczeniami nie pojmuje w zupełności tej strasznej tajemnicy, a dziecko by ją miało rozumieć! W czarnych oczach Anusi czytałeś zapytanie, co znaczy ta ponura zagadka, na jaką po raz pierwszy w życiu napotkała — a choćby jej kto był chciał tłumaczyć, ona nie byłaby go zrozumiała.

Czarno ubrani ludzie weszli do izby, a na ich widok małe jej serduszko zadrżało;

wtenczas ją ktoś wziął za rękę i odprowadził. Więcej już nic nie widziała.

Przez cały dzień siedziała w izbie pani Korduli i przypatrywała się obrazkom w dużej księdze żywotów Swiętych, która przed nią na stołeczku leżała, a duży piernik — dar panny Korduli — trzymała w ręku. Ale gdy noc nadeszła, dziwna ją napadła tęsknota i zaczęła płakać.

— Czego płaczesz, Anusiu? — zapytała panna Kordula, która aby módz pielęgnować chorą sąsiadkę, powierzyła swój mały interesik obcej osobie.

— Babusia! — płakała dziewczynka. — Ja chcę do babusi!

— Babusia poszła do Ojca niebieskiego, moja Anusiu! Ty teraz u mnie pozostaniesz.

———

V.

Pod koniec wakacyi uniwersyteckich ostry już wieje wiatr jesienny; dzień nastaje krótszy i coraz prędzej światło wieczorem trzeba zapalać. Cała przyroda tęskny przybiera wyraz. Pojawiają się prawda dni ciepłe i pogodne, ale zwiędły liść szeleści pod nogami, a rychły wieczór obejmuje ziemię ponurym swym chłodem.

Ulice przedmieścia zupełnie prawie były puste, a zapadający zmrok dozwalał tylko jeszcze rozpoznać okolicę. Na drodze, wiodącej od cmentarza do miasta, słychać było kroki, głośną rozmowę i śmiechy. Trzech panów postępowało drogą; powracali oni prawdopodobnie z przechadzki. Przez mur cmentarza widać było krzyże i białe pomniki, ale widok ten smutny i ponury nie przeszkadzał wędrowcom bynajmniej w wesołem i śmiechem przerywanej gawędce.

— Ja mam wielką ochotę dziś jeszcze wypłatać jakiego figla!—zauważył jeden.

— Myśmy nie od tego! — oświadczyli towarzysze.

— No, to zobaczymy, czyby się z tą kwaciarką żart jaki nie udał. Kiedyśmy po południu szli tędy, zauważyłem, że to wcale szykowna twarzyczka.

To mówiąc wskazał na drugą stronę dość obszernej ulicy, gdzie stała niewielka buda z desek, obwieszona na zewnątrz gierlandami i wieńcami; piękna, wysmukła dziewica była właśnie zatrudniona zdejmowaniem tych wieńców i układaniem w budzie

Trzej młodzieńcy, którzy mieli na głowie czapeczki studenckie, przeszli spiesznie przez ulicę i przystąpili do sprzedawaczki.

— Chcielibyśmy coś kupić, moja piękna panienko!—odezwał się jeden.

Dziewczyna zwróciła się spiesznie ku przybyszom. Widocznie nie obiecywała sobie od nich wiele dobrego, bo odpowiedziała na pół niechętnie, na pół zaambarasowana:

— Panowie widzicie, że właśnie handel zamykam; a zresztą już teraz za ciemno, aby módz coś wybrać.

— Ale zawsze dosyć jasno, aby widzieć jak panna jesteś piękną! — Mówił dalej ten, który się pierwszy odezwał, a obaj drudzy na głos się rozśmiali.

Dziewczyna spojrzała na mówiącego i mimowoli zadrgnęła, ręce jej drżały, gdy sięgnęła po jeden z wieńców, aby go zdjąć, nie zważając wcale na natrętów.

Ale tym wcale nie poszło w smak, że żart ten tak na sucho się miał skończyć; szepnęli coś do siebie, potem dwóch z nich odczepiło dłuższą gierlandę i zanim się dziewczę spostrzegło, już gierlandę zarzuconą miała na szyi; wśród śmiechu ściągnęli obaj gierlandę tak, że ramionami ruszyć nie mogła; trzeci zdjął wieniec, a trzymając go przed jej twarzą, zawołał:

— Oto rama dla tego pięknego obrazu; ale trzeba go pocałować, bo piękności hołd się należy!

Przy tych słowach zbliżył się do niej, ale strach dodał jej siły, że zdołała wyrwać ramiona i gwałtownie go odepchnęła. Przytem wychyliła się z cienia budy, a ostatni brzask wieczorny oświecił jej oblicze. Napastnik zaśmiał się i zawołał pogardliwie:

— Ach, to Anusia żebraczka, ona zawsze była taka dzika!

Odwrócił się, a towarzysze puścili gierlandę i poszli za nim, śmiejąc się i powtarzając nazwę co dopiero usłyszaną.

Dziewczę patrzało jak wryte za odchodzącymi.

— Anusia żebraczka! — powtórzyły jej blade, drgające usta i takiego doznała uczucia, jak gdyby to przezwisko rozżarzone żelazo wypalało jej w sercu; powtarzała je wciąż mechanicznie i z bolesnym powtórzyła je krzykiem, gdy weszła do poddasza tylnego domku i rzuciła się w objęcia starej panny Korduli.

— Co ci to, Anusiu? Co się stało?

— Ach on mię tak nazwał, on!

— O kim mówisz Anusiu? Kto taki?

— Gucio, młody Wollheim!

— Ach, ten pusty chłopak! No, bądź rozsądną! Nie zważaj na gadanie takiego człowieka! Ten nicpoń! Jemu to naigrawać się z uczciwych, pracowitych ludzi! Niech Pan Bóg broni tych chorych, którzy jemu kiedyś wpadną w ręce! Nie zważaj na to, Anusiu, dziecko moje drogie!

Stara kobiecina głaskała główkę biednego dziewczęcia i pocieszała je jak mogła, ale tej rany, którą to jedno okrutne słowo młodocianemu jej sercu zadało, nie zdołała macierzyńska jej miłość zagoić; struny ostremi palcami zerwanej nie można tak łatwo spoić.

Niejeden upłynął roczek od czasu, jak się dzieci w ciasnem podwórzu bawiły; z dzieci teraz są ludzie dorośli, jakkolwiek jeszcze młodzi. Gucio i obaj bracia bliźnięta akademikami, a biedna Anusia wyrosła na piękną, kształtną dziewicę. Po śmierci starej Schreiberowej wzięła panna Kordula sierotkę pod swoją opiekę, a i pani Wollheim nie cofnęła dobroczynnej swej ręki; a teraz gdy Anusia wyrosła, siadywała w miejscu swej zreumatyzowanej dobrodziejki codziennie w budzie niedaleko cmentarza. Interes się powodził i żywił skromnie i uczciwie obie niewiasty.

Rodzice Gucia i Fichtnerowie mieszkali jeszcze w tym samym domu, a właśnie w czasie wakacyi bawili też panowie studenci w domu, podczas gdy przez cały rok pozostawali w odległem mieście uniwersyteckiem. Kolorowa czapeczka pokrywała Gucia zawsze jeszcze jasne naturalne kędziory, podczas gdy włos braci Fichtnerów przybrał barwę ciemną. Wszyscy trzej zgrabnymi byli młodzieńcami, a we wszystkich towarzystwach, na wszystkich balach i zabawach jedno zgodne było zdanie, że Augustyn Wollheim najpiękniejszym jest studentem. Opinia ta musiała się bezwątpienia odbić o uszy Gucia; przynajmniej zdradzała to jego buta i zbyteczna pewność samego siebie, tak że trudno było odgadnąć, że serce jego tak samo jeszcze było niezepsute, jak wtenczas, gdy jeszcze był chłopięciem; to, co w charakterze jego było dobrem i szlachetnem, było niejako pogrzebane butą i swawolną pustotą życia akademickiego, na które się niestety nie zapatrywał ze strony poważnej. Należał on do tych licznych młodzieńców, którzy pierwsze lata studyów uniwersyteckich spędzają w knajpach, na zabawach i w bezczynności, którzy czapeczkę, długie buty i dużego psa uważają za najpierwsze warunki dobrego obywatela akademickiego, a potem w ostatnich semestrach w największym pośpiechu dogonić chcą to, co zmudzili, aby w grożącym egzaminie, który naraz przed roztrzeźwionym stawa jako zmora straszliwa, zupełnie nie przepaść. Szczęśliwy, komu się to uda, u którego jeszcze czas do zwrotu na lepszą drogę; chociaż czas najwyższa; niejeden stawa się dla tego szkopułu, który sam sobie wystawił, rozbitkiem na całe życie.

A więc na takiego człowieka wyszedł mały Gucio! Stary pan Wollheim, który już od dawna wyższy piastował urząd, potrząsał nieraz głową i mawiał z westchnieniem do swej małżonki:

— Szczęście wielkie, że to nasz jedynak!

Doktór Fichtner odebrał po zmarłym bezdzietnie bracie sukcessyą, skutkiem czego synowie jego na uniwersytecie także swobodnego i wesołego życia zażywać mogli.

Odkąd Gucio poszedł na uniwersytet i miał zabaw i przyjemności poddostatkiem, a mianowicie widząc, jak się o jego względy ubiegały damy, zaczął się wstydzić przyjaciółki lat swoich rodzinnych. Nie wdawał się z nią wcale, bo uważał, iżby mu to ubliżało, nie chciał jej znać, nie patrzał na nią i z czasem zupełnie prawie o niej zapomniał wśród wesołego życia. W ten sposób zdarzyć się mogło, że tej, która w tym czasie na piękną wyrosła dziewicę, dobrze

przypatrzyć się musiał, aby ją znowu poznać; w ten sposób mogli tak stanąć naprzeciwko sobie, jak się to było stało: tak więc obywatela akademickiego zawstydził mały chłopiec, który jeszcze był radzców „Guciem” i niczem więcej, i miał dla małej biednej Anusi złote serce.

VI.

Rychło nastawała zima. Mroźny wiatr ścinał liście z drzew a całą przyrodę osłaniały posępne mgły ołowiane. W dzień zaduszny nastał także lekki przymrozek, a chmury śnieżne, które głęboko zawisły, zdawały się czekać tylko, dopóki wierni opuszczą cmentarza, aby groby ozdobione ostatniemi kwiatami roku, pokryć białym swoim całunem. Wieczór zapadał, a tłumy pobożnych zaczęły się rozchodzić do domów. Pusto było przy cmentarzu, a cisza nastała przy bramie cmentarzowej w budach, których właściciele resztki niesprzedanych towarów zabierali do domu.

Samotny jegomość człowiek stary, w zamożnem ubraniu, wystąpił z bramy cmentarnej i poszedł zwolna pomiędzy przekupniarzami, na których prawie żadnej nie zwracał uwagi. Nagle zatrzymał się i z przerażeniem niemal spojrzał ku budzie z desek, stojącej nie w rzędzie drugich bud, ale w ulicy; z tej budy właśnie wychodziła Anusia, chcąc się udać do domu. Zamknęła drzwi budy na klucz, a gdy się nieco wstecz pochyliła, aby pobróbować, czy też u góry drzwi były dobrze zamknięte, opadła jej chustka; nieznajomy widział wtedy dokładnie piękną i delikatną jej twarzyczkę, otoczoną ciemnemi splotami włosów, z czarnemi oczyma; które wraz z długiemi rzęsami twarzy melancholiczny nadawały urok.

Zaniepokojony przystąpił spiesznie do niej; ona spostrzegłszy go, zwróciła się ku niemu, spodziewając się, że o coś pytać zamierza. On nic nie mówił, tylko spojrzeniem surowego swego oka zdawał się czytać w jej duszy, tak że przelękniona spuściła oczy ku ziemi.

— Jak się panna nazywasz? — zapytał, a głos jego był szorstki.

— Anna Bittenfels! — odpowiedziała zdziwiona.

Nieznajomy starzec zadrgnął.

— Tak, tak, domyślałem się, przeczuwałem! To podobieństwo! Gdzie panna mieszkasz?

— U pewnej starej kobieciny, właścicielki tego kramu, która mię przed wielu laty po śmierci mej babki przyjęła do siebie!

Starzec przystąpił tuż do niej. Gwałtownie ujął jej bródkę i podniósł nieco opuszczoną główkę. Surowy jego wzrok zabłysnął jakoby w najwyższym gniewie; ale zanim ona się spostrzegła i zdołała się wyrwać, zmienił się ten wzrok na wyraz gorzkiej boleści i serdecznego rozczulenia.

— Anusiu! — rzekł czule, drżącym głosem i mocno przycisnął do serca; potem odepchnął ją znowu szorstko prawie i odszedł.

Gdy Anusia nazajutrz wieczorem powróciła do domu zastała pannę Kordulę w łzach. Przestraszona przybiegła do niej i czule ją obejmując zapytała, co się stało?

Staruszka przytuliła dziewczę do serca i rzekła wśród łkania:

— Ach, Anusiu, ty masz mię opuścić! Serce mi pęka z żalu!

— Jabym ciebie miała opuścić, ciotko Kordulo? Któż to powiedział?

— Usiądź, Anusiu, powiem ci wszystko! Będziesz teraz, Anusiu, dostojną, bogatą damą; już nie będziesz sprzedawała wieńców i jadła ubogiego chleba, ale będziesz żyła tak dobrze i pięknie jak księżniczka. Widzi Bóg, jak się z tego cieszę dla ciebie, moje dziecko; ale ja ciebie tak kocham! Przyszłaś do mnie jako drobna dziecina, a ja się spodziewałam, że ty mi oczy zamkniesz!

Dziewczyna słuchała z trwogą słów starej opiekunki, a gdy ta znowu zaczęła płakać, ujęła jej rękę i prosiła:

— Ciotko Kordulo, powiedz mi proszę, co się ze mną ma stać! Umieram ze strachu, dopóki się wszystkiego nie dowiem.

Kordula uspokoiła się z trudnością, otarła łzy i rzekła:

— A więc słuchaj! Ten pan, o którym

mi wczoraj powiadałaś, że tak dziwnie się w obec ciebie zachowywał, jest twoim dziadusiem!

— Moim dziadusiem? Jak to być może?

-- Wiesz przecież, Anusiu, że ojciec twój był możnym, bogatym panem; a ten stary jegomość to ojciec jego, baron Willibald Bittenfels. Dziś podczas twej nieobecności przyszedł do mnie, opowiedział mi wszystko dokładnie, wywiadywał się bardzo starannie o ciebie i oświadczył, że ciebie jako dziecka syna swego odtąd weźmie do siebie. Ojciec twój umarł krótko po śmierci twojej babusi, a starzec zupełnie jest osamotniony. Niedawno temu przybył do tego miasta i bardzo jest uszczęśliwionym, że tak niespodzianie znalazł wnuczkę, której nigdy w życiu nie widział.

Wśród opowiadania Korduli Anusia coraz więcej się uspokajała, a gdy Kordula mówić przestała, podniosła się dumnie.

— Ja nie chcę i nie pójdę z tym starcem bez serca, który dla rodziców moich tak był okrutnym i pozwolił mojej dobrej babusi umrzeć z nędzy! Ja niczego od niego nie pragnę; zostanę przy tobie, ciotko Kordulo. Nie odpychaj mię od siebie, wszakże mię jeszcze tak dobrze możesz potrzebować!

Kordula do głębi była wzruszona.

— Moje dziecko kochane, widzi Bóg, żebym cię najchętniej chciała zatrzymać; ale tak koniecznie być musi! Jestto moim świętym obowiązkiem, abym cię nawet przeciwko twej woli oddała twemu dziadkowi. Nie wolno mi pozbawiać się tych korzyści, do których niezaprzeczone masz prawo. Jaka mi zawsze trwoga przejmowała na myśl co się z tobą stanie po mojej śmierci, i jakże teraz ze serca dziękuję Bogu, że ci otwiera taki bezpieczny, piękny dom rodzinny, w którym wszystkiego mieć będziesz poddostatkiem!

— Ciotko Kordulo! — zawołała Anusia namiętnie, — i co mi po tem wszystkiem? Czy sądzisz, że ten człowiek będzie mię kochał i tak dla mnie będzie dobry, jak ty?

— Dziecko, — uspokajała ją stara, — on jest twoim dziadkiem i tem samem ma prawo do twojej miłości, chociażby się tobie wydawał zimnym i szorstkim. Zresztą zdaje się że strapienia i lata złamały jego pychę, i że wśród cierpień, jakiemi go Pan Bóg doświadczył, stał się teraz łagodnym, a nawet potulnym.

W oczach Anusi łezki zabłysły.

— A więc dobrze, pójdę z dziadusiem; ale nie bez ciebie! Ciebie przy mnie pozostawić musi, ciotko Kordulo, ja od ciebie odstąpić nie mogę, ty dobra, jedyna ciotko Kordulo.

VII.

Ożywiające słonko pierwszych dni wiosennych zaglądało przez otwarte okna pięknej i bogato ozdobionej komnaty, tak że w obec niego gasło światło jasnego ognia, który się na kominku palił. Przy oknie stała oparta piękna, szlachetnej postawy dama, w bogatem ubraniu; śliczna główka, ozdobiona koroną czarnych włosów lekko była skłonioną ku młodemu człowiekowi, który stał przed nią, a wśród rozmowy nieraz spotykał się z wzrokiem jaśniejących jej czarnych oczu.

Już przed wielu oboje tak stali naprzeciwko sobie; wtenczas chowała ona bose swe nóżki w słomę, którą on dla niej był zebrał; był on wtenczas jeszcze dobrym, małym chłopcem, a tata jego był radzcą. Teraz ona nazywała się baronówną Anną Bittenfels, a z radzców Gucia stał się praktyczny lekarz, Dr. Augustyn Wollheim.

-- I pan jesteś przekonany, panie doktorze, że w rzeczy samej wszelkie niebezpieczeństwo minęło i jest ratunek dla dziadusia? — zapytała, wpatrując się w niego z niepokojem.

— Bezwątpienia, łaskawa pani! Nie taiłem także przed panią niebezpieczeństwa, jakie groziło; tym szczęśliwszym jestem teraz, że mogę panią zupełnie zaspokoić.

Augustyn Wollheim mówił te słowa z największym spokojem, jako człowiek z dobrem wykwintnem wychowaniem; ale w głosie drżał pewien niezwykły dźwięk, który z dobrym tonem światowym nic nie miał wspólnego.

Przy jego słowach zapłonęło jej oko

— Jesteśmy panu bardzo wdzięczni, panie doktorze, — rzekła uprzejmie. — Czuwałeś pan z tak niezmordowaną pilnością nad dziadkiem, byłeś pan tak troskliwym, tak czułym — — —

— Przepraszam panią, — przerwał jej lekarz, — ja tylko wypełniłem obowiązek, a potem jestem jeszcze młodym lekarzem, — dodał z uśmiechem, — który niema wielkiej praktyki, a zatem przy pojedyńczych pacyentach czas sobie dać może. Jestem niesłychanie szczęśliwym, że pani mogę być użytecznym.

Spojrzenie, jakie przy tych słowach na nią skierował, zaambarasowało ją nieco; nastało krótkie milczenie, zanim mówiła dalej:

— W tych dniach trwogi i smutku, w których pan nam tak szczerze dopomagałeś, byłam tyle samolubną, że nie pytałam, jak się powodzi godnej mamie pańskiej. Pan wiesz, jak dobrą zawsze była dla mnie; spodziewam się, że zdrowa?

Słowa te wprawiły Augustyna w niemały ambaras. Nie mógł pojąć, że z takim spokojem mówiła o owym czasie, w którym pozostawała w nędzy i poniżeniu; że teraz w szczęściu i dobrobycie z wdzięcznością wspominała dobroć matki jego i tak otwarcie to wypowiedziała. Miał o sobie to przeświadczenie, że sam w podobnem położeniu byłby się wstydził dawniejszego ubóstwa.

— Dziękuję pani. Pominąwszy drobne dolegliwości, jakie się zwykle w starszym wieku pojawiają, jest mama moja zupełnie zdrowa. Wspomnienie pani o niej będzie dla niej bardzo pochlebne.

Anna uśmiechnęła się prawie ironicznie.

— Czyby mi wolno było, odwiedzić kiedy tę kochaną panią? Bardzobym się ucieszyła, gdybym ją ujrzała. Ciekawam, czy też sobie o mnie jeszcze przypomni.

— Z pewnością. Ona często panią wspomina. Któżby w ogóle panią mógł zapomnieć, skoro raz miał zaszczyt poznać panią.

Ironia na ustach Anny jeszcze więcej się uwydatniła.

— Zapominasz pan, panie doktorze, że mama pana znała mię tylko jako biedną, opuszczoną sierotę, której okazywała miłosierdzie.

— Nie, moja pani, nie zapominam o tem. Wszakże i w mojem sercu wspomnienia tego pięknego czasu niezatarte pozostawiło ślady. O gdybyś pani jeszcze była owem małem, biednem dziewczęciem — — —

— Które siedziało boso na zimnych schodach! — przerwała mu z pustotą.

— Tak jest, a które mogłem bronić, obdarzać, dla którego mogłem być silniejszym a oddanym przyjacielom.

Głos jego stawał się wzruszonym; nie mogła mu już przytem spokojnie patrzeć w oczy, to też z wymuszoną obojętnością, która od ostatnich serdecznych słów dziwnie odbijała, zauważyła:

— Dziecinne wspomnienia. Właściwie one zarazem z zabawkami ustąpić powinny, a jednakowoż dziwną nad nami moc wywierają. Dla mnie te wspomnienia nie są bardzo przyjemne.

Niemile dotknęły go te słowa; coraz więcej zaczął tracić spokój umysłu.

— A mimo to pani sama w tej chwili dałaś dowód, że wzgardzone te wspomnienia troskliwie pielęgnujesz. Czy przyjaciel lat młodocianych istotnie dla pani tak się stał obcym, że się pani wstydzisz wyznać, iż chętnie wspominasz na dni wspólnego pożycia, wspólnej nauki i zabawy?

Spojrzała na niego z przestrachem. To, co zrozumiała ze słów jego, ściskało jej piersi wzruszeniem nigdy nie doznanem.

Nie odczekał odpowiedzi, ale mówił dalej, jak gdyby teraz nagle upadła była zapora, której dotychczas przebyć nie zdołał.

— Co do mnie, to wspominam owe błogie czasy, jakoby urocze marzenia. Nieraz zaglądałem o zmroku wieczornym do tego ponurego podwórza, które było świadkiem naszej igraszki, a wspomnienia moje przenoszą mię daleko w te dni, kiedyśmy jeszcze dziećmi byli, Anno! Potem nas życie od siebie i z pani zrobiło dostojną damę, ku której towarzyszowi młodości już nie było wolno spoglądać. A potem — potem znowu nastał dzień, w którym z zawołania stanąć musiałem przy łożu boleści, gdzie wszelkiemi możliwemi środkami, jakie podaje nauka, miałem śmierci wydrzeć ofiarę, a przy tem łożu znalazłem panią, Anno!

i zobaczyłem znowu po długiem niewidzeniu. O pani tego nie wiesz, co się ze mną działo, gdy dzień w dzień w tym domu z panią się spotkać musiałem, widzieć panią w pełnym rozwoju młodocianej piękności, w nowem dostojnem stanowisku, z dala odemnie, codziennie więcej podziwiać szlachetne serce pani, wykształcony umysł, a jednak nie módz wypowiedzieć tego, co serce moje tak do głębi poruszyło! Teraz jednakże, gdy już raz zaporę przełamałem, wiedz pani o tem, że serce moje najczystszą ku pani przepełnione jest miłością, że tęsknota za panią serce moje pożera. Widzę, co nas rozdziela, a jednakowoż panią miłuję, bo nie mogę inaczej, bo ta miłość zanadto się zrosła z sercem i życiem mojem od pierwszych dni naszego dzieciństwa. Kochałaś pani chłopca—czy mąż dojrzały dziś niczem nie jest dla pani?

Przy tych słowach rumieniła się i bladła naprzemian; w obliczu jej malowała się walka jej duszy. Było jej, jakoby upojona rozkoszą podnosiła czarę szczęścia i radości; aby ją do dna wychylić; ale gdy tę czarę do ust podniosła, wysunął się z niej robak obrzydliyy; wpadła do niej kropla gorzkiego jadu — i z wstrętem odepchnęła siebie to, co jej się tak uroczem wydawało.

— Anno, - błagał z cicha, — powiedz mi pani jedno przychylne, łaskawe słowo, jeżeli nie zapomniałaś przyjaciela młodości.

Wtenczas zawołała dziko:

— Nie, ja go nie zapomniałam! Ja nie mogę tego zapomnieć i nigdy nie zapomnę, że to on był, który mię wzgardą okrył i szyderstwem przez to słowo, które było postrachem moich lat dziecinnych; który dumnie na mnie z góry spoglądał, gdy nosił akademicką czapeczkę; który mię z szyderstwem nazwać mógł: „Anusią żebraczką": który mógł mną pomiatać, gdy byłam biedną i opuszczoną, a który mi teraz prawi o miłości, gdy Pan Bóg życie moje tak wielkiem szczęściem obdarzył!

Jakoby piorunem rażony stał młody lekarz w obec tego wybuchu namiętnego gniewu. Chciał mówić, chciał prosić o wyjaśnienie, ale giest rozkazujący zamknął mu usta.

— Wiedz tedy, panie doktorze, że i ja pana nadewszystko kochałam! Był czas gdy się czułam szczęśliwą, gdy z okna mojego poddasza mogła pana zobaczyć; gdy dźwięk mowy pańskiej wszystką krew mi ścisnał do serca; czas, w którym moje młode, nierozsądne serce zupełnie było panu oddane. Ale co pan wtenczas o to się pytał? Nie znałeś pan już przyjaciółki z lat dziecinnych; nie miałeś dla niej ani pozdrowienia ani życzliwego słówka: a ja mimo to pana kochałam. Lecz potem nastał dzień, nie wiem, czy go pan pamiętasz, — w którym to Augustyn Wollheim miał tyle serca, że zawołał: „Toćże to Anusia żebraczka!" Od tej chwili miłość ku panu wyrwałam ze swojego serca!

Wśród głośnego płaczu padła na krzesło; Augustyn stał naprzeciwko niej blady jak trup z drżącemi wargami; ogarnęło go uczucie palącego wstydu.

— Anno, czy mi nie możesz przebaczyć? Nie możesz pani zapomnieć tego strasznego słowa, które bezmyślnie wypowiedziałem w płochości młodzieńczej, w studenckiej zarozumiałości? Jeżeli usta moje takie gorzkie wypowiedziały słowo, to zaręczam pani, że serce moje o tem nie wiedziało; musiałem panią zawsze miłować od naszego dziedziństwa, chociaż sobie z tego sprawy nie zdawałem. Ja dziś niejedną plamę upatruję w tym czasie, który mi wówczas wydawał się najpiękniejszym, najszlachetniejszym czasu mojego życia. Powiadasz pani, żeś mię kochała! O nie dopuść pani tego, aby jeden błąd lekkomyślności młodzieńczej, stanął pomiędzy nami a szczęściem całego życia naszego. Zaręczam pani, że bezwiednią tę obrazę zatrę najczulszą serca miłością!

Anna podniosła się dumnie.

— Panie doktorze, miłowałam pana całem sercem, ale nieczułe postępowanie pańskie tę miłość na zawsze zabiło. Nie mogę w żaden sposób zapomnieć tego, co pan tak lekko sobie cenisz. Broniłeś mię pan jako chłopiec przed okrutnem szyderstwem naszych rówieśników — jakże się więc pan musiałeś zmienić, skoro pan sam mogłeś później to pogardliwe, straszne słowo w twarz mi rzucić! Jakże zimne, jakże puste wtenczas musiało być serce pańskie, gdy

mógł być tak okrutnym dla biednego dziewczęcia, którego całe serce, cała istota w nieskończonej wdzięczności panu były oddane! Nigdy nie będę mogła być żoną pańską — nie dla tego, że z „Anusi żebraczki," zrobiła się "baronówna Bittenfels", ale dla tego tylko, żeś pan w tak niegodny sposób zranił mię w nędzy i poniżeniu, i taką okazał mi wzgardę. Pan sam siebie oszukujesz, panie doktorze, sądząc, że mię miłujesz. Gdybym dziś jeszcze ciężko pracować musiała na kawałek chleba, nie dbałbyś pan ani o mnie, ani o moją miłość; jabym dla pana zawsze jeszcze była tą samą Anusią żebraczką; a z tem przeświadczeniem nie mogę z zaufaniem oddać panu ręki, nie mogę powiedzieć: „Chcę być twoją aż do końca życia!"

W czasie tej mowy obudziła się jego duma. Był on zawsze jeszcze tym samym „Radzców Guciem," który siebie za coś wyższego uważał, jak wszystkich tych, których ojciec nie był radzcą.

— Nie, moja pani, — odpowiedział dumnie, — co do ostatniego punktu myślisz się pani bardzo. W moich oczach tytuł szlachecki nie ma tak wysokiego znaczenia, abym nie śmiał stanąć obok niego jako nieszlachcic, ale doktor Augustyn Wollheim. Jeżeli mi pani nierozważnego słówka nie możesz przebaczyć, toć już muszę ponosić skutki tego, czego sam nie uniewinniam. Oby pani nigdy tego nie pożałowała, żeś nie była dla mnie wyrozumialszą. Jeżeli mi i pani i nadal chcesz poruczyć leczenie dziadka, będę rad temu ze względu na jego własne dobro. Z mej strony nie obawiaj się pani, abym się kiedykolwiek narzucał z objawieniem uczuć dla pani niemiłych!

To powiedziawszy, skłonił się zimno i odszedł. W ten sposób rozstali się; bo jakkolwiek jeszcze się spotykali, byli dla siebie obcymi. Rozstali się, sądząc, że łatwą będzie rzeczą i nadal żyć bez siebie, chociaż wzajemnie do serc sobie zajrzeli i poznali najtajniejsze jego uczucia.

VIII.

Upłynęło lat kilka. I znowu nadeszły święta Bożego Narodzenia z uroczym blaskiem świateł na chojenkach, z podarkami Gwiazdki i uciechą dziadek; a osamotnieni i opuszczeni, których nikt nie obdarzał i którzy nie mieli komu dawać gwiazdki, siedzieli z zwilżonemi oczami w skromnych swych izdebkach i z żałością wspominali ten czas, w którym i dla nich uśmiechała się kiedyś Gwiazdka i radość chociaż skromna. Wielu z tych w samotności serca swojego uciekało się do tego miejsca, z którego zawsze jeszcze głos Boży wzywa do siebie spracowanych i obciążonych, i obiecuje pociechę tym, których świat od siebie odepchnął; uciekają się do świątyni pańskiej, i tam doznawają cichej, rzewnej radości, a o nich możnaby powiedzieć, że „najlepszą cząstkę obrali."

W pięknym kościele klasztornym w M. odprawiało się nabożeństwo wieczorne we wilią przy żłóbku; nie bardzo licznie zebrali się wierni na to nabożeństwo. — W jednej z rzeźbionych, starożytnych ław siedziała dama, nieruchoma, zatopiona w modlitwie. Na dworze było już ciemno. Ołtarz i żłóbek rzęsiście były oświetlone; potężny głos organ łamał się o wysokie sklepienia; lekkie obłoczki kadzidła jakoby delikatna zasłona wznosiły się przed ołtarzem, a dźwięczne głosy dziatwy zawodziły radosną pieśń Bożego Narodzenia. Były to biedne dziatki, które śpiewały, wychowańcy klasztornego zakładu miłosiernego, sieroty i zebrane z ulicy, na pół zdziczałe, opuszczone istoty; i one czekały w klasztorze gwiazdki, a małe ich serduszka biły niespokojnie w tęsknem i niecierpliwem oczekiwaniu. Owa dama, która zatopiona w modlitwie siedziała w ławie, już od kilku tygodni krzątała się około gwiazdki dla tych biednych dziatek. Miała ona dobre, litościwe serce i sama z doświadczenia dobrze wiedziała, co to jest, być biedną, opuszczoną sierotą, a przy dźwiękach tej starej pieśni, którą sieroty śpiewały, przeniosła się w mysłach do dni własnego dzieciństwa; znane głosy dochodziły jej uszu. Trudno jej było skupić ducha do modlitwy; gorzką boleścią i zarazem słodyczą przepełnione wspomnienia obudziły się w jej duszy; ale wszakże to była Gwiazdka, a wspomnienie

na lata minione jest jedyną uciechą dla osamotnionych. Jeden obraz jaśniejszy od innych odbijał światłem: jakto jej raz Gwiazdka przysłała obfite dary przez pięknego, rumianego chłopca, z jasnemi kędziorami, a ta postać wewikłaną była we wszystkie te obrazy, które w nieskończonej liczbie wynurzały się z pomrocznej przeszłości, potem dzieci wyrosły na młodzież dojrzałą: oboje którzy w latach dziecinnych tak bliskimi byli siebie, stali znowu naprzeciwko sobie i gorzkie, straszne padły słowa; a potem nastąpiło rozłączenie na całe życie. Obfite łzy popłynęły jej z oczu; ale wnet zapanowała nad sobą, otrząsła się z bolesnych wspomnień i modliła się długo i z gorącem nabożeństwem; umysł jej uspokoił się, modlitwa go ukoiła. chociaż nie zdołał napełnić radością.

Przebrzmiał śpiew dziatwy, zagaszono świece na ołtarzu; wierni opuszczali świątynię, a dla niejednego niezawodnie trudną było rzeczą, wychodzić z miejsca świętego pokoju Bożego w wir walki życia. Gęsty, pulchny śnieg pokrywał ziemię i wciąż jeszcze padał wielkiemi płatamt; zimno było wystarczające, że śnieg nie tajał, ale suchy pozostał na ziemi. Prawdziwie piękne powietrze zimowe — powietrze odświetne!

I owa dama wyszła z kościoła i szła przez ulice, wciąż jeszcze w mysłach pogrążona, gdy naraz płacz dziecka ją zbudził z zadumy. Przed nią, oparta o ścianę domu, stała czteroletnia dziewczynka, która rzewnym zanosiła się płaczem. Dama pochyliła się ku dziewczynce i zapytała z współczuciom, dla czego płacze?

— Zgubiłam Rózię! — wyjąkało dziewczę wśród głośnego płaczu; — a Gwiazdka zaraz miała nadejść!

— A gdzie ty mieszkasz, dziecko?

— Ja nie wiem!

— Jak się nazywasz?

— Mania!

— I jak jeszcze?

— Mania — — ale więcej dziecko wypowiedzieć nie zdołało, tylko łkało tak żałośnie, jak gdyby małe jej serduszko pęknąć miało z bólu.

Dama obejrzała się bezradna.

Dziecko ubrane było ciepło i elegancko. Należało przypuścić, że takowe z jakiejbądź przyczyny oddaliło się od prowadzącej je służącej i przebiegło jednę lub kilka ulic; ale tu właśnie rozchodziły się ulice w kilku kierunkach, a dziewczynka nie wiedziała, z której strony tu przyszła.

— Ach, Gwiazdka teraz z pewnością przyjdzie bezemnie! — narzekała.

— Uspokój się, dziecko! — pocieszała ją dama, — ja cię już zaprowadzę do domu; Gwiazdka z pewnością za tobą zaczeka; ona nie uciecze, ale ci wiele dobrych i pięknych rzeczy przyniesie!

Wzięła płaczącą dziewczynkę na rękę; obejrzawszy się po ulicy, wstąpiła do składu owocowego, z którego przez okno wystawne jasne światło na ulicę padało; tu zapytała, czy kto tego dziecka nie zna.

— Pani, toć to Mania! — zawołała uprzejma kupcowa, spojrzawszy w zapłakaną twarzyczkę dziecka; — na nieszczęście nie mam nikogo, któregobym mogła posłać. To dziecko pochodzi z domu doktora tu zaraz na pierwszej ulicy; nazwisko zapomniałam, ale pani tam łatwo trafisz; jestto wielki, piękny dom z balkonem i ogródkiem przy ulicy, mniej więcej na środku ulicy, tu zaraz po prawej stronie!

Dama podziękowała uprzejmie kupcowej i wyszedłszy z kramu pospieszyła ku oznaczonej kamienicy. Rodzice tego dziecka; ktorzy przygotowali dary i zapalali świeczki chojenki, nie przeczuwali może jeszcze wcale, jak bardzo ich radość była zagrożoną; spieszyła więc, aby im odjąć chociażby chwilę możliwej troski i obawy.

W sieni wskazała jej jakaś służąca drzwi mieszkania doktora. Drzwi były otwarte; z dzieckiem na ręku weszła do przedsionka. Tu nie było nikogo. Chciała więc dziecko posadzić na ziemię i odejść, ale dziewczynka przyczepiła się do niej i rzekła:

— Ach, pozostań. Gwiazdka mię wyłaje, a i wujek będzie się gniewał na mnie, żem Rózi uciekła!

(Dokończenie nastąpi).

W. BOGUSŁAWSKI.

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Bardos.

Idźcie tylko przodem,
Ja zaraz przyjdę.

(Wszyscy odchodzą.)

SPRAWA IX.

Bardos *(sam, rozżewniony.)*

Z jaką szczerością, te chłopy
Darują mnie czem mogą. Uczułem prawdziwie,
Że mi się łzy po oczach kręciły żewliwie.
Czemu tak małe dary, wielką rozkosz rodzą?
Czemu tak sercu miłe? Bo z serca pochodzą.

ŚPIEWKA.

Nie ci nam dają, którzy są bogaci,
Nie ci, co przymus, lub interes mają,
Bo pierwsi dają, co zdarli z swych braci,
Drudzy do łaski, wzgardę przyłączają.

Zasłona spada.

ODSŁONA III.

(Teatr wystawia to samo, co w pierwszej odsłonie.)

SPRAWA I.

Dorota *(sama.)*

Cós to, ze ich tak długo nie widać?
Cy casem mego Stasia w bitwie nie zabili.
Oj! toćbym tes becała, wolałabym wreście,
Zeby mojego starca; ale cyt, salona!
Nie powinna, mężowi śmierci zycyć zona,
Choć i bzydki, dość, ze człek pocciwy. Niewieście
Zawse zycie małzonka, powinno być drogie.
Ze casem się psytrafi cłeku z ułomności
Zgzesyć, to jesce nie tak wiele w tem jest złości,
Ale cychać na zycie, jest psestępstwo srogie.
Jabym jus i nareście, chciała z nim zyć wiernie,
Ale mi ten Stach serce, tak pali niezmiernie,
Ze ledwie zyć bez niego mogę, uiescęśliwa.
Na co się tes to cudzej zecy, tak zachciwa.
Gdyby Stasio był moim, moze i połowy
Nie byłby mi tak miłym, nie zawrócił głowy,
A teraz mnie tak dręcy, tak mą dręcy dusę.
Ze albo umrę z zalu, albo go mieć musę
Obiecał, kiedym na slub jego zezwalała,
Ze mnie tes pocałuje, jak tylko powróci,
Cy mi dotsyma słowa, będę doświadcała.
Bo po ślubie, to Baśka głowę mu zawróci,
A psytem jędza dziewka, nie da sobie w kasę
Dmuchać.

SPRAWA II.

Dorota, Bryndus, Jonek.

Dorota.

Jak się mas Jonku? a nasi?

Jonek.

Za młynem,
Wysiadają tam na bzeg.

Dorota.

A bydło?

Bryndus.

Na pase,
Jus go zagnał pastusek.

Dorota.

Jakimze to cynem
Cudownym, wy z Góralami w zgodzie?

Jonek.

Aj Bartkowa!
Jak powiemy, to wam się wej zawróci głowa,
Jakie tam dziwowiska ten Skubent wyprawił!
I pogodził nas wszystkich i strachu nabawił.

Bryndus.

I nawracał i dziwił.

Dorota.

Ales jak, gadajcie.

Jonek.

Oj! bo to trudno.

Bryndus.

I jak!

Dorota.

Lec psecie.

Jonek i Bryndus.

Słuchajcie!

DWUŚPIEW.

Bryndus.

Najpsód ciągnął drut pses drogę,

Jonek.

Potem sam uciekł na górę.

Bryndus.

Potem nas udezył w nogę.

Jonek.

Potem im chciał wybić skórę.

Bryndus.

Potem nam kazał powstawać.

Jonek.

Potem groził, potem łajał,

Bryndus.

Potem kazał ręce dawać,

Jonek.

Potem jakieś dziwy bajał.

Bryndus.

Potem podawał butelki.

Jonek.

Potem włosy powstawały,

Bryndus.

Potem spuścił drut niewielki,

Jonek.

Potem kręcił jakieś wały,

Bryndus.

Potem kazał stanąć w koło,

Jonek.

Potem nas wsystkich udezył,

Bryndus.

Potem się rozśmiał wesoło,

Jonek.

Potem jus mu nikt nie wiezył,

Bryndus.

Wreście, djabeł to rozumie,
Co ten człowiek mądry umie.

Dorota.

Chyba tes djabeł pojmie, bo ja głupia z [illegible]
Ale otós i nasi, widzę Stasia mego.

SPRAWA III.

Wszyscy oprócz **Bardosa.**

Dorota.

Witajcie nam, witajcie!

Bartłomiej.

Jak się macie zono?
Cies się, jus między nami wsystko zakoń-
cono,
Jus my w zgodzie. Ten skubent, co to n[illegible]
Był z nami, pozbawił nas wselkiego kłopo[illegible]

Wawrzeniec.

Co on tam nawyrabiał i pojąć nie mo[illegible]
Opowiemy wam wsystko.

Jonek.

Ale to zec prózna,
Jus my tu powiedzieli Dorocie dokładnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)